ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Października. Ner 41. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. 37. 40. Rozmaitości.)

X.

Dwoje winowajców.

To miasto Rimini, gdzie tylko pięć dni żyłem, pozostanie mi wiecznie w pamięci; albowiem w jego murach doznałem najgwałtowniejszych wzruszeń jakie tylko wytrzymać może dusza ludzka. Ta izba w hotelu, gdzie przepędziłem pięć nocy tak blizko Giglii, śród tak dziwnych okoliczności niewyjdzie mi nigdy z głowy. Był-to pokój zupełnie zwyczajny i umeblowany jak wszystkie prawie pokoje po zajezdnych domach włoskich, a jednak naznaczony jest w méj pamięci, jak gdyby się różnił od wszystkich innych. Pamiętam jak dzisiaj każdy najdrobniejszy przybór téj sceny, na któréj się odbył najsmutniejszy akt dramatu mego życia.

Widzę jeszcze przed sobą tę obszerną niżę a w niéj dwa łóżka zbite poprostu z desek sosnowych na żelaznych słupkach. Gdy wpadam w moje zadumania, gdy przebiegam w pamięci dziwne i straszne koleje mego życia; wtedy mimowolnie stają mi przed oczyma ściany téj izby malowane al fresco przedstawiające historyę Franceski da Rimini.

Gdy Giglia weszła, wydobył się z naszych piersi jeden okrzyk radości. Szczęście zabłysnęło w méj duszy, ale byłato tylko błyskawica: prawie równocześnie uczułem ból przejmujący równie żywy, lecz trwalszy niż była radość moja. Tego podwójnego wstrząśnienia elektrycznego doznaliśmy oboje w jednéj chwili. Giglia padła jak gdyby w omdleniu na wielką kanapę stojącą pod ścianą.

Mąż przyszedł z sługą niosącym walizy; zajęty złożeniem tych rzeczy, nie spostrzegł naszego pomieszania.

— Odpocznij, rzekł do biednéj kobiéty, ja tu już zrobię porządek, potem muszę jeszcze napisać kilka listów przed obiadem.

Giglia nic nieodpowiedziała; patrzała na mnie wzrokiem, który ją tysiąc razy mógł zdradzić. Po chwili wyrwałem się zpod tego uroku obawiając się wykrycia naszéj tajemnicy.

Gdybym niemiałbył nadziei, że znajdę sposobność widzenia się sam na sam z Giglią, byłbym opuścił moją część mieszkania. Katusze jakie znosiłem, niejestem wstanie opisać: nigdy w życiu mojém niezdarzyło mi się słyszéć o tak dotkliwym zbiegu okoliczności: nigdy może nieznajdował się kochanek w położeniu tak dziwném, tak płodném w najrozmaitsze męczarnie.

Ani oka niezmrużyłem po całych nocach; doznawałem cierpień niesłychanych; a jednak niemiałem tyle mocy nad sobą by się oddalić. Dziwne-bo serce człowieka! chwilami znajdowałem w tych cierpieniach rodzaj boleśnéj rozkoszy podobnéj do upojenia, jakie sprawia opium u samobójcy.

Ale co najgorsza, że czas upływał a nienastręczała się sposobność mówienia z nią po raz ostatni sam na sam. Ten Romolo Gangheri, milczący, zimny i twardy jak marmur; ten człowiek który o niczém inném niemówił z żoną chyba o interesach handlowych — był zazdrośny. Nieopuszczał jéj nigdy, niespuszczał jéj nigdy z oka. Raz popołudniu jednak, był-to już piąty dzień od naszego spotkania, około piątéj godziny, wchodząc do naszego wspólnego pomieszkania, zastałem Giglię samą siedzącą na kanapie i pogrążoną w myślach. Była-to pierwsza, jedyna chwila jaka nam się nastręczyła. Zbliżyłem się do niéj bez namysłu; ona powstała również; uściskaliśmy się wzajemnie zachwyceni.

— Giglio, rzekłem, wyjechałem z Rzymu, by cię odszukać; chciałem usprawiedliwić się przed tobą.

— Ah Manello! ja to, ja jestem winna!...

— Biédna Giglio! Niepowinienem był opuszczać ciebié ani na chwilę!... Ale nieprzestałem cię kochać... będę cię kochał całe moje życie; wszak ty wiesz o tém, nieprawdaż?

Biédne dziecko zbyt było wzruszone, by mogło odpowiedzićć. W téj chwili zapomnieliśmy o wszystkiém co zaszło od czasu naszego rozłączenia; słowa bez związku zamierały nam w ustach, gasły w pocałowaniach. — Amore mio!... — Giglietta mia!... — Nellino!... caro Nellino!.. Taka była nasza rozmowa. Nawał uczuć powstrzymany, przygłuszony tak długo, niemógł się objawiać w dłuższych orzeczeniach; to niespodziewane połączenie zdawało nam się odzyskaną wiecznością. Tyleśmy ucierpieli, kochaliśmy się tak szczérze, tak namiętnie! czekaliśmy na siebie tyle lat! Zapomnieliśmy więc wszelką roztropność, namiętność owładnęła nas zupełnie; byliśmy szczęśliwi przynajmniéj kilka minut. Niestety! te minuty były policzone. Gdyśmy tak zapomnieli o świecie, drzwi się otwarły a Romolo stanął w progu. Przebudzenie było straszne; straciliśmy przytomność i puściliśmy się oboje ku niży.

Mąż zimny i niezdradzający najmniejszego wzruszenia, stanął z założonemi rękoma, ścigał nas tylko swym wzrokiem. Nie widać było na jego twarzy wyrazu groźby, ani gniewu; stał tylko przez kwadrans nieruchomy niespuszczając z nas oka, ale ten kwadrans wy-

dał mi się wiecznością. Gdyby był wybuchł gniewem, uczułbym był ulgę: gdyby mnie był zabił na miejscu, niebyłbym się bronił; ale zaiste niepojmuję teraz, jakem mógł znieść to nieme urąganie się, ten wzrok przenikliwy nieubłagany.

Po długiéj chwili rzekł Romolo do żony z najzimniejszą krwią i głosem zwyczajnym:

— Zbierz się Giglio, pójdziemy na obiad.

Giglia poszła za mężem nie rzekłszy i słowa: po chwili i ja wyszedłem. Goście hotelu zebrani już byli około stołu, obiad już zaczęto; niemogliśmy więc wybierać miejsca: chcąc niechcąc musieliśmy zasiąść obok siebie. Romolo Gangheri siadł pomiędzy mną a Giglią. Żadnemu z nas niesmakowało jadło. Romolo Gangheri bawił się przy stole swym nożem, czasem jak gdyby próbował czy ostry i mocny, i spoglądał na nas od czasu do czasu ukradkiem, ale tak że nikt z przytomnych domyśléć się niemógł znaczenia.

Co chwila oczekiwałem katastrofy. Na wypadek gdyby cios na mnie był wymierzony, byłem zrezygnowany; ale gdyby ugodził w Giglię, postanowiłem zgładzić go natychmiast. Ale obiad skończył się spokojnie: zemsta odroczona była na kiedy indziéj.

Gdy noc nadeszła, położyliśmy się na spoczynek w tym samym porządku co nocy poprzedzających. Postanowiłem wytrzymać jeszcze ten nadmiar męczarni, bo obawiałem się o biédną Giglię; byłbym się spodlił w własnych oczach, gdybym ją był opuścił. Ta noc była okropna: Romolo położył obok siebie swoje pistolety podróżne i sztylet, bojąc się może zamachu z méj strony; ja zaś bałem się bardzo o Giglię.

Nikt z nas niespał; słyszałem ile razy się ruszył kupiec, ile razy boleśnie westchnęła jego żona; najstraszniejsze myśli przechodziły mi po głowie. Pewnie nikt nieoczekiwał świtu z większą niecierpliwością jak ja téj nieskończenie długiéj nocy.

Nakoniec zaczęło się rozwidniać. Romolo zerwał się piérwszy, kazał się także ubrać Giglii i wyprowadził ją z pokoju nietracąc ani na chwilę swéj dziwnéj obojętności. Późniéj pytałem się oberzysty, gdzie się podział, a ten mi odpowiedział, że pan Romolo Gangheri skończywszy swoje sprawunki zapłacił rzetelnie swój rachunek i odjechał do domu.

Ten nagły wyjazd niebył nic nadzwyczajnego u człowieka jak Romolo. Niemogłem sobie wytłumaczyć téj spokojności, téj zimnéj krwi w obec najdotkliwszego ubliżenia honorowi małżonka w niektórych okolicach Włoch; nic pewniejszego jak to że odkładał zemstę na czas późniejszy. A może był tak nikczemnym że nieśmiąc otwarcie stawić czoło mężczyźnie, postanowił wywrzéć swą zemstę bez świadka na bezbronnéj kobiécie.

Ta myśl niepokoiła mnie strasznie; postanowiłem udać się za nimi i czuwać potajemnie nad bezpieczeństwem Giglii. Postanowiłem więc wyjechać do Ankony. Jednak przypomniałem sobie

moją dobrą towarzyszkę podróży, robiłem sobie wyrzuty za moją niewdzięczność. Kochana Plautilla! jakże uczułem potrzebę jéj słów pocieszających. Te gwałtowne wstrząśnienia, te wzruszenia tak żywe, tak raptowne przygniotły mego ducha; uczułem potrzebę pociechy i pomocy. U kogoż mogłem znaleźć tę ulgę jak nie u Plautilli?

Zmieniłem przeto nagle moje zamysły i powróciłem do Rzymu. Przybywszy zastałem nad moje spodziewanie mały liścik, a z adresu pisanego niewprawną ręką, domyśliłem się kto go pisał. Był-to rzeczywiście list od Giglii.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

AMATOR.

U progu stał zwalony stos sprzętów, a woźny na głos zwoływał kupca no „kto da więcéj!“ kilku przechodniów stawało, ale ledwo okiem rzuciwszy poznali co jest, szli daléj; i żebraka nawet nie nęciło to co tu stało na przedaż. Wreszcie i woźnemu sprzykrzyło się wołać i wołać, zamilkł i pochwiał głową.

Signor Caverdone! nie stanie skórka za wyprawę, mówi do staruszka w okularach stojącego na boku; zdaje mi się że w całym Rzymie nie znajdziesz takiego biedaka, któryby się złakomił na gałgany u wdowy po Peligrinie. Wszystko co tu jest, zbić razem, jeszcze i trzech dukatów nie będzie.

A ona dwanaście winna! wykrzyknął staruszek tłukąc laską o ziemię. Dwanaście, *Jacopo*, dwanaście dalibóg! jak-em katolik; a może i więcéj, bo to kiedy się ufa, dawało się jéj mężowi, to pokostu, to pędzli, to farb jak między bracią. Któż-to mógł przewidzieć że umrze nie zapłaciwszy?.. Prawdziwie, za nadto-m dobry!.. za moje dobre serce sam widzisz co mi ten nieszczęsny bazgracz zostawił: gałgany, żonę i czworo dzieci. Żony nie sprzedać, ani dzieci; a gałgany powiadasz i trzech dukatów nie warte. Ah! ludzie biedni kiedy co mają, to tylko na nieszczęście, *caro Jacopo!* cały świat skubie ich, szarpie, oszukuje...

Woźny oglądnął się:

Nie tak głośno *Signor*, szepnał półgłosem, za nami właśnie wdowa z dziećmi, a to kobiéta z sercem, wiesz panie, wzięłaby za przymówkę. A zresztą *Signor Caverdone*, temu Pelegrino nie winien, że go gorączka zabiła.

To nie, ale za co nabrał u mnie na dwanaście dukatów?

Byłby ci oddał gdyby był żył.

Wiem o tém.

I czegoż się skarzysz?

Czego? co? czego ja się skarzę? proszę uniżenie? czego ja się skarzę! wykrzyknął stary; wszak nic niezostawił czém długi spłacić... Tacy wy wszyscy, wy mantacze, jeden za drugim jak bydło!.. Niby-to grabarz grzechy maże! albo-to wolno pożyczać kiedy się kona?

Woźny wzniósł ramionami, i rzekł:

Ej miły Boże! u biedaków poczciwość nie zawisła od woli, wisi troszkę na opatrzności. Nie mogą się wypłacać tylko z pracy; a jeźli im Bóg odbierze zdrowie, to temu nie oni winni; Bóg téż za nich niech odpowiada. Kto wié, *Signor Caverdone*, może właśnie za te dwanaście dukatów wkupisz się do raju.

Stary się skrzywił na to, jak gdyby się zgorszył.

Nie bluźń, Jacopo! rzekł z obrzaskiem, raczéj zwołuj, niech ludzie stają.

Jacopo uśmiechnał się i wrócił do swego, a Caverdone zaczął nanowo po setny raz obliczać co by się dało zebrać z przedaży.

Biedna wdowa tymczasem, bądź że nie słyszała tego co mówili, czyli że ją to nie obchodziło, siedziała u progu nie zmieniając ani postawy ani wyrazu. Jak posąg między dwojgiem stojących dziateczek, podtrzymywała starsze prawą ręką, młodsze zaś lewą, a dziateczki przebierały w rozpuszczonych warkoczach matki; trzecie dziécię tarzało się u stóp jéj po ziemi, a czwarte opodal skubało z kołyski i splatało słomki.

Gdyby nie rumosz w około, a na czole zastygła żałoba i rozpacz, niktby po wdowie nieszczęścia nie widział; twarz była spokojna, ni łzy w oku, ni westchnienia na ustach! Szczéra niepamięć siebie jak na stracenie kiedy kto idzie, bez wiedzy bez ogledu, prawie obojętnie dlatego że co ma przyjść, jest nieodzowném i nieodmiennėm.

Wreszcie zastanowiło się kilka osób przed woźnym, i że ciekawość tém jest dla ludzi czém dla ciał atrakcya, więc stawało i więcéj i każdy pytał czego oni tu stoją? niedawno nie było nikogo, niebawem tłumu nie przebić. Nikt nic nie kupował, ale każdego bawiło to co drugich zastanawiało.

Idzie dwóch panów, a tu ciżba przejść trudno.

Co tu takiego? zapytał starszy, po minie poznać że Anglik.

Gdyby to u nas w Paryżu Milordzie, odpowiada drugi szczebiotem jak zwykle Francuz, powiedziałbym że żona męża bije, albo że anglizują kota.

Nawet i to nic, *Signor Francese,* bąknał Żyd jakiś który zasłyszał co mówili panowie.

A cóż takiego?

Ot! *Signor Caverdone* każe sprzedawać manatki po jednym malarzu co umarł niedawno.

Któż-to ten *Signor Caverdone?*

Kupiec mój panie, który mu dostarczy farb jak najtaniéj.

Czy my u ciebie malarze? bałwanie, fuknął Anglik.

Żyd widzę się zpoufala, dodał Francuz. Słuchaj pejsaku, patrz lepiéj kiedy mówisz do lorda Pembroke i pana de Vivonne.

Twarz żydowi zajaśniała. Lord Pembroke! zawołał; czy nie ten bogaty amator obrazów...

Ten sam.

Ah Milord! w sam czas mam szczęście godność pańską oglądać. Ja mam dzieła wszystkich artystów hiszpańskich i włoskich.

Anglik rzucił okiem na niego:

Jak ty się nazywasz?

Izrael! panie.

Ah! ah! w saméj rzeczy mówiono mi o tobie. Powiadają żeś szczwany lis, kupujesz za szeląg, za dukata przedajesz. Mniejsza z tém. Masz ty Poussin-a?

Trzy jw. panie.

Des Crespi?

Kilka.

A Dominichina?

Ile się podoba.

Gdzie mieszkasz?

Oto mój adres.

Tymczasem woźny zaczął wywoływać: Kołyska piérwsza.

Niema kupca! coś milczą, mówi Francuz.

Signor Caverdone źle wyjdzie, poddał żyd.

Czy wiele mu winni?

Dwanaście dukatów, panie.

I wdowa tyle niemogła zebrać?

Nie.

Nie miałażby przyjaciół?

To taka biédna, gdzie tu przyjaciół! mówił Izrael.

Dwanaście dukatów — powtórzył de Vivonne. Czy pojmujesz Milordzie jak-to żyć dwunastą dukatami?

Pospólstwo nie ma potrzeb, mruknął filozoficznie Milord.

Szczęśliwe! Ja tracę trzykroć stotysięcy franków rocznie, i na wszystkiém mi zbywa. Korczuję lasy, przedaję renty, wyrabiam gratyfikacye, a z dwustem dukatów nigdy się nie schodzę.

Ej! komu-to żyć dzisiaj, mój mości, mówi Lord. Ja sam, z tego co dopiéro mieć będę na rok, już wydałem sześć tysięcy gwineów.

Ah biada Milordzie, na wałęsów schodzi szlachta! Gdybym był bogatszy, rzuciłbym téj babie tam dwanaście dnkatów; ale mnie gra zjadła.

A mnie kolekcya obrazów, dodał Lord. Czy uwierzysz że już daję łotrowi jednemu w Rotterdamie piędziesiąt tysięcy talarów za siedm Sakramentów Poussin-a, i on nie chce! Będę musiał postąpić do ośmdziesiąt tysięcy abo i więcéj.

Żyd połykał słowa a roił skarby z kieszeni Anglika. Ale opodal stał jeszcze ktoś inny co z ucha nie tracił rozmowy dwóch panów. Mężczyzna w średnim wieku, czarno ubrany, nie odznaczał się prócz żywością oka. Uśmiechnął się na skargi ubóstwa dwóch panów, rzucił na nich wzrokiem szyderczo-gorzkim, czego tamci nie widzieli. W téj chwili wywołał woźny jakiś obraz zakopcony.

Więc tu są i obrazy? zapytał Lord Pembroke śmiejąc się.

Jakaś wiecha, którę pewnie bazgracz niemógł pozbyć do karczmy, powiedział pan de Vivonne.

Sześć pawłów! woła woźny; kto da więcéj?

Darmo, nie będzie, mówi Izrael.

Cicho.

Ja dam trzy dukaty, odezwał się nagle mężczyzna w czarném.

Szmer zrobił się w ciżbie.

Trzy dukaty! powtórzył żyd zdziwiony.

Kto-to ten co tyle daje? zapytał Milord.

To jest *Maestro Stella*, jw. panie.

Czy malarz?

Malarz, i piérwszy znawca na cały Rzym.

Czy-to w tym obrazie jest co takiego?

Może-to arcydzieło jakie, odrzekł p. de Vivonne obojętnie; kto wié? może Correggio, albo jaki Ticyan.

U bazgracza!

Czemu nie? Alboż-to nie znalazł się niedawno Correggio nade drzwiami u guzikarza?

Trzy dnkaty! woła woźny, nieda nikt więcéj?

Dam cztéry! zawołał żyd.

Ja ośm dukatów! odpowiedział Stella.

Dziesięć! ja.

Dwanaście!

Nastała chwila. Izrael prosi pokazać sobie obraz bliżéj.

Nie potrzeba! przerwał mężczyzna w czarném, ja daję dwadzieścia.

Dotąd Pembroke uważał tylko i nic nie mówił. Podsuwa się teraz, i z tonem wyższości spokojnéj i zimnéj jaka u panów zwykła:

Pięćdziesiąt dukatów, powiedział krótko.

Malarz zwrócił się do niego:

Obraz tyle nie wart, pozwól pan.

Anglik spojźrzał ukosem i uśmiechnął półgębkiem. — Dobrze, dobrze, mój profesorze, rzekł przechwiewując się tam i sam, kto ma kolekcyę za sto tysięcy funtów szterlingów, pozwól mój mości troszkę, znać mu się na obrazach. Musiałeś zapewne mieć powody panie Stella, kiedyś pędził ten obraz?

Miałem Milordzie.

A więc i ja mam moje; — i odwrając się do woźnego: Sto dukatów! i koniec temu.

Ludzie stali zdziwieni. Wszystkich oczy zwróciły się na Lorda. Biedna wdowa niewiedziała czy-to jest we śnie czyli na jawie; a Signor Caverdone przecierał okulary z radości.

Woźny obwoławszy po trzykroć: Nie daje nikt więcéj! przysądził obraz lordowi.

Maestro Stella patrzał spokojnie jak Anglik płacił.

Niespodziewałeś się konkurencyi mistrzu, mówi Lord poglądając zuchwale.

Przepraszam Milordzie, miałem nadzieję.

Jak-to?

Słyszałem rozmowę pańską; wiedziałem że ubogiś, by dać dwanaście dukatów wdowie po Pelegrinim, jesteś Milordzie bogatym zapłacić Poussin-a ośmdziesięcią tysiącem liwrów; chciałem uwieść miłośnictwo pańskie i zmusić je do wsparcia nędzy; udało mi się wymódz na panu dobry uczynek udając kupno tanie. Gdym podawał trzy dukaty, byłem przekonany że Lord da więcéj.

Więc ten obraz...

Nie wart sześć pawłów, jak była taxa Milordzie.

Pan de Vivonne parsknął ze śmiechu.

Nie podobna! wykrzyknął Anglik, jeżliby tak, Maestro Stella zapłaci mi za to...

Sto dukatów?... zgoda. Gdyby mnie był Milord nie pędził, byłbym kupił obraz, nie za arcydzieło, ale ażeby przyczynić sercu memu o jedno miłe wspomnienie więcéj. Jeżli Milord żałuje, że mu wyłudzono jałmużnę, i jeżeli istotnie nie może dać sto dukatów ubogiemu, może mi odstąpić obraz.

Za pozwoleniem; wtrącił de Vivonne, jeźli on odstąpi, ja go biorę. To nauczka, nieprawdaż panie Stella? Chciałeś nam dowieść że my panowie nie rozumiemy a kochamy się w kunsztach, i że hojni w zaspakajaniu szalbierstw, jesteśmy skąpi w pełnieniu powinności naszych.

Ah panie, rzekł Stella, nie państwo tacy, ale świat cały. Częstokroć zamiłowania nasze przechodzą w przywarę może występek. Nie kochamy się w arcy-dziełach dla drugich ale dla siebie, zbieramy, dusimy je jak skąpiec skarby swoje. Zamiłowaniem do kunsztu nie powoduje miłość ludzkości, ale upojenie serca naszego któremu schlebiamy. Malarz czy amator, wolimy obraz skopcony niż twarz z uszczęśliwienia wesołą. W tém nasz grzech pierworodny, i ztąd okrucieństwo nasze.

Dobrze mówisz, odpowiedział de Vivonne z udaną lekkością, dziękuję za kazanie; a na dowód że skutkuje, weź to dla twojéj pupilli.

I podał mu kiesę, którą malarz przyjął.

A ja zatrzymam obraz, dodał Lord Pembroke z powagą.

Owszem uczyń lepiéj Milordzie, naznacz mu miejsce w twojéj galeryi; każdéj chwili przechodząc przypominać ci będzie pocieszoną familię. a już samo wspomnienie takie warto Rafaella.

Ptactwo i gospodarstwo wiejskie.

P. Fr. Tschudi, znakomity ogrodnik i gospodarz w pobliżu St. Gallen, przedłożył tamtejszemu towarzystwu agronomicznemu rozprawę o ważności ptactwa dla gospodarstwa wiejskiego, godną dalszego rozpowszechnienia, a któréj główne punkta tu przytaczamy:

Bez ptactwa — mówi p. Tschudi — zniszczałoby i gospodarstwo i wegetacya. Jego usługi są tak ważne a oraz tak trudne, że tysiące rąk ludzkich niezdołałyby tego dokonać. Najlepszy dowód mamy na owadach pustoszących lasy. W téj mierze zbiérały się już nieraz komisye, używano rozmaitych środków, zatrudniano tysiące ludzi, kopano rowy, spędzano nierogaciznę, a wkońcu pokazało się, że wszelkie te usiłowania niebyły wstanie zapobiedz dalszym spustoszeniom. Natomiast z jakąż łatwością dokonało tego kilka tuzinów ptactwa! Starajmy się tylko nastręczać potrzebne wygody tym małym dobrodziejom i przywiązać ich do naszych ogrodów i lasów, a skrzętność ich nagrodzi sowicie nasze starania. Każdy oględny gospodarz powinien zwracać uwagę na to, ażeby tak pożyteczne ptactwo, jak ziemby, jaskółki, sikory, dzierlatki i t. p., gnieździły się około jego pomieszkania. Trzeba szanować duplaste i dziurawe drzewa, w których pewien rodzaj ptaszków najradziéj szuka schronienia. Takie wypróchlizny, jeżli są cokolwiek pionowe, a nadto jeżli się je oczyści z pruchna i suchych liści i ochroni otwór] od słoty małą deszczułką, otrzymają wnet mieszkańców, którzy w kilku godzinach wywdzięczą się za tę przysługę. Również korzystna urządzać liczne gniazda szpaków i uważać, by niewybiérano piskląt. Przedewszystkiém zaś radziłbym przyrządzać z dłuższych lub krótszych kawałków wypróchniałych wewnątrz gałęzi albo też z deszczułek gniazdeczka dla drobnego ptactwa, i przywiązywać je ze szczebelkiem u

otworu, najwięcéj na cal szerokiego, od wschodniéj strony na drzewach, jednak z wyjątkiem gniazd dla szpaków nie wyżéj nad 10 do 20 stóp nad ziemią i nie na drzewach zbyt późno się rozwijających lub zanadto odosobnionych. Gniazda te i ich otwory mogą być zresztą rozmaitéj wielkości. Sikory lubią zazwyczaj takie, które wewnątrz mają do 7 cali długości, a 3 cali szerokości; inne gnieżdżą się w większych nieco. Zresztą potrzeba gniazdeczka urządzane z deszczułek pomalować na czarno i obłożyć mchem albo korą. W Niemczech, gdzie dawniéj w niektórych okolicach nakazywano urzędownie ustawiać gniazda dla szpaków, używają obecnie tego środka z wielką korzyścią ogrody zoologiczne (zwierzyńce), zakłady botaniczne, szkoły agronomii i prawie wszystkie znaczniejsze gospodarstwa, w których co roku za wpływem urzędników, nauczycieli i światłych właścicieli dóbr ustawiają tysiące takich gniazd przekonując się coraz wyraźniéj, że żaden może kapitał nierentuje się tak prędko i tak sowicie, jak ten nieznaczny wydatek.

Te uwagi o nadzwyczajnéj użyteczności ptactwa, które pod względem wyniszczania owadów przewyższa wszelkie podobne usiłowania ludzkie, i jest przeto dla ludzi warunkiem pomyślności a nawet życia, popiéra pan Tschudi mnóstwem autentycznych przykładów. Tak pomiędzy innemi były w pewnéj oranżeryi trzy wysokie krzewy róż okryte przeszło dwu tysiącem mszyc roślinnych. Sprowadzono sikorkę i wpuszczono do oranżeryi: w przeciągu kilku godzin pojadło to ptaszę wszystkie robaczki i oczyściło zupełnie rośliny. Gdzieindziéj wpuszczano na próbę dzierlatkę do pokoju, i uważano, że w przeciągu godziny ułowiła 900 much prawie. Para ślepowronów wyniszcza pod wieczór w przeciągu kwadransu niezmierne roje komarów. Para trznadli przynosi swym pisklętom w godzinie w przecięciu 36 razy pożywienie składające się z chrząszczy i robaczków. Dla drzew owocowych i lasów są sikory niezmiernie ważne, gdyż zjadają jaja niebezpiecznéj ćmy tak zwanéj „Prządnik jodłowy.“ Jedna samica takiego prządnika znosi nieraz dwa razy w ciągu lata po 600 do 800 jaj, a jedna sikora spożywa z swemi młodemi kilka tysięcy na dzień. Także trznadle, szpaki i dzięcioły przeszukują pilnie drzewa, tak zimą jak i latem i wydziobują z wielką zręcznością te szkodliwe jaja z głębokich szczelin kory. Tak samo robią sikory i w ogrodach niezmierne przysługi. Hrabia Kazimierz Wodzicki opowiada: „W roku 1848 objadły gąsienice, — znany nieprzyjaciel ogrodów „Bombyx dispar“ wszystkie liście z moich drzew, tak że stały zupełnie nagie. W jesieni spostrzegłem miliony jaj, które osnute kosmatą powłoką okrywały wszystkie pnie i gałęzie. Kazałem je uprzątywać z wielkim kosztem, ale wnet przekonałem się, że ludzka ręka niepodoła téj pladze, i byłem już przygotowany postradać najpiękniejsze drzewa. Aż oto pod zimę zaczęły pojawiać się w ogrodzie codziennie liczne stada sikor i trznadli. Gniazda gąsienic przerzedzały się widocznie. Na wiosnę ugnieździło się do 20 par sikorek w ogrodzie; na przyszłe lato była liczba gąsienic nierównie mniejsza, a w roku 1850 oczyściły te małe skrzydlate ogrodniki tak dalece moje drzewa, że za ich pomocą okryły się w lecie najpiękniejszém liściem.“

Także i wróble zalicza pan Tschndi do rzędu nader pożytecznych ptaków, z tą uwagą, że jedna para wróbli donosi swym młodym co tygodnia w przecięciu do 2000 gąsienic, co pełnéj garści trześni lub kilku kłosom zboża snadnie wyrównywa; — tak samo też i sowy, które w ciągu swych wycieczek o świcie i zmroku wyławiają niezmierne masy owadów leśnych, osobliwie ćmów nocnych i wieczornych i ich gąsienice. Niektóre rodzaje sów odznaczają się równie jak szpaki, kawki, gawrony i sojki nader korzystnie wyniszczaniem chrząszczy majowych. Angielski badacz natury White obserwował przez dłuższy czas parę sów kwefiastych, i przekonał się, że przynosiły w przecięciu co pięć minut jedną mysz do gniazda; para zaś puhaczy skalnych przyniosła pewnego wieczora w Czerwcu 11 myszy swym młodym. Możnaż sobie wyobrazić, — powiada pan Tschudi, coś pożyteczniejszego nad skrzętność tych ptaków, które ograniczone chłopstwo przybija często do bram swych szpichlerzów? Większa część drobnego ptactwa żywi się albo całkiem albo częściowo przez cały rok, a osobliwie w czasie gnieżdżenia się owadami, robactwem, ślimakami, pająkami i t. p.; tak pomiędzy innemi: piegży, dzwońce, drozdy, szpaki, muchołówki, pionki, trzcinoiki, makolągwy, pliszki, pokrzywki, gile, kosy, sikory, pośmieciuszki, skowronki, ziemby, wróble, trznadle, jaskółki, patrasty, dzięcioły i wiele innych. Wszystkie te ptaszki wyniszczają miliony jaj gąsieniczych, gąsienic, much, komarów, chrząszczy, mrówek, mszyc roślinnych, ćmów, robaków i t. p., a każdy w właściwy sobie sposób; jedne bowiem smakują w téj klasie owadów, drugie w owéj; jedne uprzątują owady w tém, drugie w owém miejscu; jedne zbiérają je z liści i gałęzi, drugie wywiercają z kory, łowią w powietrzu lub wygrzebują z ziemi. Wszyscy gospodarze, tak kończy pan Tschudi, powinni jak najusilniéj starać się o to, ażeby pożyteczne te zwierzątka, naturalni sprzymierzeńce i najwierniejsi przyjaciele gospodarstwa wiejskiego, znachodziły wszędzie taką ochronę, na jaką zasługują dla nieocenionych swoich usług ku pożytkowi naszemu.

Główny Redaktor **M. Szreniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*